

Listy do Niny i Tycjana Tabidzów

Do Tycjana Tabidzego

6 XI 1933

Drodzy moi Przyjaciele, Nino Aleksandrowni i Tycjanie!

Nie wiem, jak się nazywa wzniesienie, po którym odjeżdżają pociągi z Tyflisu. Widać je było z naszego okna w Oriancie, często na nie patrzałem, śledząc płynący powoli dym, to skrywający się za skalnymi występami, to znów widoczny. Te same manipulacje, jak ten dym, zacząłem przeprowadzać, gdy Wy i Korniejewowie pozostaliście za zakrętem, i Mikołaj z Golcewem mogliby, gdyby chcieli, wyliczyć na zegarku z okna hotelu, jak powoli zegnałem się z cudownym miastem, ile jego pojawień się spoza skał uznałem za ostatnie i już ostateczne, po czym znów się ukazywało, jak gdyby spoglądając wstecz już z niemożliwości i ponad oczekiwanie, i jak trudno mi było przy tym wszystkim powstrzymać się od łez. Szczęśliwi, szczęśliwi! Jakże chętnie zamieniłbym się z Wami na losy, gdybym Was nie kochał.

Jechałem pośród sąsiadów w wagonie jako nierozmowny pasażer, zbyt bowiem wielki skarb wywoziłem ze sobą w sercu, lecz nie miałem z kim się nim dzielić: wszystko to byli ludzie, którzy Was nie znali, którzy nie byli tej nocy u Leonidzego, którzy nie bronili Łada przed atakami Szanszwaszwilego, którzy nie szukali Kazbeka w mroczno-mglistej panoramie z tarasu E.A. Wedli – nieszczęśni i ciemni ludzie, niemający w życiu celu ani powołania, skoro ich nie było przy tych stołach, ci, co przyszli na świat Boży godzinę przed odejściem pociągu specjalnie po to, by wypełnić zarezerwowane miejsca...

Łatwo możecie sobie wyobrazić, moi Drodzy, po ilekroć starczało mi czasu i okazji, by raz jeszcze przeżyć wszystko, co odczuwałem i widziałem wcześniej. Czasu na to miałem więcej, bo spóźniliśmy się do Moskwy ponad dobę – 30 godzin. Najpierw pod Baku zatrzymała nas na 9 godzin zamieć śnieżna, potem całą noc staliśmy pod Mochacz-Katą,

zatrzymani przez katastrofę, która wydarzyła się na kolejnej stacji. A potem zaczęli nas traktować jak tych, którzy z własnej winy wypadli z rozkładu jazdy: semafony jak podcięte opuszczały się przed nami na małych stacyjkach i wśród pól. I oczywiście było dla mnie jasne, że z rozkładu jazdy wypadłem ja, a nie pociąg, ponieważ wszystkimi myślami byłem nie w drodze, a w dniach, które spędziłem wśród Was.

I ponieważ nagadałem Wam już tyle głupstw, że ich ilość przechodzi w jakość i zdaje się przemieniać w prawo kontynuowania w tym samym stylu, to wyznając, że kiedy przyjechałem do domu, oczekiwało mnie to wszystko, co przeżyłem z Ziną od samego początku, wznowione w całym dawnym nasileniu dramatyizmu, ale tym razem tylko we dwoje, w spokojnym, przez nikogo niekwestionowanym domu, tak że czasami brało zwątpienie, czy sensowna jest ta głupia burza poznawania się na nowo, skoro tak dawno zostało ono uznane i stało się taką oczywistością.

A oto na całkiem już inny temat z dziedziny czystego głupstwa, przykłady „idiotyizmu jako takiego”.

Na podstawie jakichś tam depesz w angielskiej i skandynawskiej prasie mój ojciec w liście cieszy się z mojej podróży i... winszuje mi jej (!). Przeczytał, wyobraźcie sobie, że stałem na czele (!! ekspedycji pisarzy, która potem tym samym pociągiem pojechała na Krym (!!!), i tatusiowi bardzo spodobało się moje przemówienie (!!!!), które wygłosiłem w Tyflisie (!!!!!).

Moi Drodzy, czy po tym wszystkim warto żyć i pracować, gdy każdy z nas, nie dając ku temu żadnych podstaw, okazuje się nagle ofiarą nieznannej spekulacji, nierealnej nie tylko w stosunku do nas, ale również z punktu widzenia jej własnych perspektyw, i nawet nie orientuje się, gdzie ma przysiąść i znieść swoje kukułcze jajko! Na chybił trafił i całkowicie przypadkowo (tak zapewne obsiewa się pola z aeroplanu) wybiera się obiekty spekulacji i człowiek, który chciałby uczciwie przeżyć w gorących granicach swoich wysiłonych ograniczeń, trafia do giełdowego rejestru. W moim wypadku jest to tym bardziej przykre, że przecież to, co rzeczywiście zrobiłem, ma wagę w połowie większą dzięki fałszywej legendzie: czy połowa mojego istnienia nie rozpada się na takie „przemówienia w Tyflisie” i „krymskie podróże”?

Ach, Tycjanie, jakże chciałbym wiedzieć, ale w całej oczywistości, kim jestem i czym jestem, aby przyjść do sądu na proces z moim losem w pełni uzbrojony w dowody rzeczowe! Zina ma odpowiedź na to pytanie, z całym zainteresowaniem wielkiego przyjaciela sądzi, że jestem próżniakiem i powątpiewa w nasze dalsze współżycie, jeśli wreszcie nie wezmę się znowu do roboty.

Nie całkiem jednak ma ona rację, ponieważ ta zdolność przywiązywania się, o której wiem, że jest we mnie czymś jedynie określonym, tak jest wielka, że zastępuje mi pracę i zdaje się zawodem.

Przywiązywanie się do miejsc, do niektórych godzin dnia, do ludzi, do dziejów dusz, których nie potrzebuję przepowiadać, tak bowiem figuralnie heraldyczne są same o nich przemilczenia, tak bywam gotów jeszcze raz opowiedzieć o nich w ich zastępstwie

– przywiązywanie się jakoś niemęskie i głupie – oto jedyna rzecz, którą, nie sprawiając tym nikomu radości, znam i umiem.

Pomiędzy ukłonami, którymi Was zaraz obciążę, będzie jeden – Wy wiecie – któremu nie potrafię nadać formy, tak bardzo jest przeze mnie przeżyty i prawdziwy. Rzecz polega na tym, że kłaniam się poecie Leonidzemu i jego poezji tym samym niskim pokłonem, jak i jego żonie, i jego losom, i domowi. I mogę się przymusić do jeszcze większej ścisłości: kłaniam się iskrze dziecińności, przebiegającej przez jego ręce i rękopisy, i przez jej duszę przenoszącej się na jego dzieci. A mówię nie o tym fałszywym prerafaelizowanym i przesłodzonym wyobrażeniu dzieciństwa, którego nie ma na świecie, jeśli nie liczyć pudełek od cukierków. Ale o prostocie i niedorzeczności, i bezbronności dziecka, o jego przewodnictwie elektrycznym. O tym, że dzieciństwo może zbudować świat z zabawki i może zginąć, przechodząc przez ulicę. O widowisku, jakie ogląda dziecko w gąszczu dorosłego życia, które przez ten czas zaszło daleko, a z którym daje sobie ono radę na sposób dziecinnie łatwy, bezsensownie, roztropnie i bezbronne. Ale ten ukłon jest tak ciężki, że lepiej go nie przekazywać.

Od Zajcewa dowiedziałem się, że B.N. pogorszyło się nieco i że leży w łóżku, ale stan jego zdrowia nie budzi obaw. Wszedł dalszy ciąg *Pogranicza*, drugi tom jego wspomnień. Wkrótce go zobaczę, zaś Wasze pozdrowienia przekazałem przez Zajcewa.

Ucałujcie Nitę, bądźcie zdrowi i wkrótce przyjeżdżajcie. Z niecierpliwością oczekuję Tichonowa i Pawlenki, aby się dowiedzieć, co było dalej. W ich relacjach znów ujrzę wszystko i znów będę z Wami. Podobnie jak z Południa przywozi się opaleniznę, tak ja przywożem sobie chwilowy odbłask wszystkiego, co było i rozbłyśło, odbłask ten powinien być zgasnąć i ulec zapomnieniu, ale, jak mówił Jaszwili, stał się on przyjaźnią artysty z ulubionym kolorem i nie znika. Tycjanie, całuję Pana.

Czy Pan pracuje, Tycjanie? Do czasu, aż otrzymam od Pana i od L. *Rysunki*, nie dotknę „rybek”, które mam od innych – nudno.

Wasz B.P.

Drodzy moi, Nino Aleksandrowna i Tycjanie!

Kiedy otrzymałem w kopercie tamten wieczorny stół, zacząłem pisać do Was list za listem. Ach, Wy oboje jesteście mi tacy bliscy! Ale przecież tyle jeszcze zobaczymy w życiu rzeczy nam wspólnych i tyle razy jeszcze i tak mocno będziemy żyli sobą wzajem, czy nie? Więc po co mamy pisać do siebie listy.

Żebym tylko uwolnił się teraz od mojego jarzma, od prozy. Trzeba by długo opowiadać, po co ją piszę.

Kiedy nazywam Was bliskimi, rodzonymi, równymi, serdecznie rozumiałymi – to nie są to puste i próżne słowa. Jeśli przyjedziecie, to zapytam Klaudię Nikołajewną.

W niewysłanych listach pisałem Wam o sobie. Że mam w duszy coś w rodzaju butelki z mocnym klejem, gdzie w jedną bryłę zlepia się wszystko najlepsze z tego, co przeżywałem. Zacząłem Wam wyliczać, z czym mi się kojarzycie: z Rollandem, z moją starszą siostrą, z dzisiejszymi rewolucyjnymi Niemcami, które stały się nagle naturalną kontynuacją Rilkego, itd. I nagle przypomniałem sobie, że przecież Pani, Nino, musi znać ten układ, skoro obok ma Pani taki żywy ładunek elektryczny, jakim jest Tycjan. Ale Tycjan, choćbyśmy nie wiem jak mędrkowali, okazuje się największym lirykiem spośród wszystkich. Wiedziałem o tym już przedtem. Ale jest mi nazbyt bliski. Podobnie jak i o sobie samym, nie śmiałem zdać sobie z tego sprawy nawet przed sobą samym. Czasami poświęcałem go całkowicie, tak jak siebie, czy może Pani to zrozumieć? Jednakże, czy Pani słyszała, co się stało w sali, kiedy niedawno od Waży Paszawalego, nad którym zaczęliśmy już usychać, a także i od niektórych innych, przeszedłem do niego! Do Pani piesków, Nino. Tycjan będzie sercem moskiewskiej księżki, on ją ratuje.

Ale dosyć, dosyć. Bo inaczej i ten list nie zostanie wysłany.

Gdy ujrzałem *Węzojada* w postaci księżki, coś ścisnęło mi serce.

Przez pierwszy miesiąc po powrocie pamiętam wszystkie miejsca i chwile w Tyflisie, i to one za mnie pracowały. A ona była ich lotnym wcieleniem.

Nie trzeba jej tego mówić, bo wie o tym i bez nas. Tyle że wie tak, jak wie wszystko i zawsze Zina, niczego nigdy nie rozumiejąc.

Rozumienie całkiem innego świata, całkiem innego stylu i sposobu życia, to nie miejsca i nie chwile, nawet nie Tyflis, nawet może nie ziemia, to bliskie, podarowane przez przypadek dopuszczenie do spraw historii, to uczestniczenie w jej przyszłości, to szeroka powieść z zacierającymi się granicami kilku istnień szczególnie szczęśliwych, pod niebem, które osłaniało ich znaczeniem jednej wspólnej daty. To ten klej, o którym była mowa powyżej, to Wy i ja, to nasze złęczone ręce.

Posyłam Wam moje letnie zdjęcie. Robił je prosty nauczyciel, Odojewski, nie krępowalem się go i dlatego dobrze wyszedłem.

Ściskam Pana, Tycjanie.

Wasz B.

¹ List datowany na podstawie stempla pocztowego.

Drodzy moi Przyjaciele, Tycjanie i Nino!

Przeszło tydzień nosiłem w kieszeni czułq do Was depeszę. Ale wstydę się nadać na pocztę, gdzie urzędnicy nie mają głowy do wyznań serca, depeszę w takim stylu. I wciąż zbierałem się, by zastąpić ją bardziej rzeczową i oschtą. Wreszcie, ponieważ mi-nęło dość dużo czasu, wyrzekłem się nawet tej myśli.

Dlaczego Pan marudzi i nie jedzie, Tycjanie? Chciałem do Pana zatelegrafować nie na temat mojej miłości i wierności, o tym Pan wie, to Panu dawno obrzydło. Chciałem Panu powiedzieć, żeby Pan nie tracił otuchy, wierzył w siebie i trzymał się, nie bacząc na chwilowe nieporozumienia. Jakże mnie ucieszył Pański telefon! I nawet Nina podeszła do aparatu – dziękuję! Ale rozmawiać było trudno, Pan mnie nie słyszał – a ja Pana doskonale.

W kłopotach niedawnej przeszłości wiele było rzeczy złudnych, nieokreślonych. Poczutem to od razu. Nikt nie zamierzał mnie zaczepiać, zrobiłem głupstwo i upomniałem się o innych, o Pilniaka, o Leonowa. Pozwoliłem sobie zwyczajnie powiedzieć, że artykuły w gazetach nie podobają mi się i że ich nie rozumiem. Co tu się działo! Zamiast wydrukować w gazecie, że popełniłem polityczną gafę (co byłoby dla mnie cięższe), załagodzono moją winę i za karę zaliczono mnie na pięć dni do formalistów. Ale i to nie na długo: to pociągnięcie nie miało powodzenia.

Ach, cóż to wszystko za bzdura! Był to zły sen, który przyśnił się kilku działaczom współczesnego pokoju dzieciennego, i chociaż bardzo się starałem, nie potrafiłem zejść do poziomu ich łóžeczek.

Jeśli jest cząstka prawdy we wszystkim, co się drukuje i mówi, to jest ona jedynie w tym, co zbiega się z najszerzej widzianą skalą czasów, z jej historyczną nieskończonością. Jakże nieskończoność może być cząstką i to jeszcze tak nędznej całości jak ta kaszka manna krytyki, którą tak wruszająco pojadaliliśmy przez cały miesiąc. Oto odpowiedź: tę prawdę wydzielano w przygnębiająco słabym roztworze: straszną prawdę burzy rozrzedzano śliną i mlekiem.

Niech Pan nie wierzy roztworom, Tycjanie! Niech Pan wierzy właśnie tej linii, właśnie z rewolucyjnego patriotyzmu niech Pan wierzy już raczej sobie, Tycjanowi Tabidzemu, ponieważ tak czy inaczej chemiczne właściwości Pańskiej struktury rozpuszczają wszystko na świecie, jakkolwiek by się to nazywało, w wyższej temperaturze niż to jest przyjęte w „Literaturkach” i „Wieczorkach”. I choćby Pan tego nawet nie chciał, rewolucja jest w nas roztworem znaczenie ważniejszym i ostrzejszym niż ten, jakiego zdoła pan naszczyć z kranu dyskusji. Niech Pan nie apeluje do dobroczynności publicznej, przyjacielu. Niech Pan liczy tylko na siebie! Niech Pan głębiej wierci ziemnym świdrem bez lęku i bez litości, ale w głąb siebie, w głąb siebie. I jeśli tam nie znajdzie Pan ludu, ziemi i nieba, to niech Pan rzuci poszukiwania, bo wtedy już nie ma gdzie szukać. To jest jasne, gdybyśmy nawet nie znali tych, którzy szukają w inny sposób. Ale czyż ich mało? I owoce ich wysiłków są oczywiste.

Może Pan być spokojny. Nie ja jeden w Pana wierzę i znam Pańską wartość. Niech Pan nie wierzy roztworom. Niech Pan wierzy rewolucji w ogóle, losom, nowym skłonnościom serca, widowisku życia, a nie konstrukcji Związku Pisarzy. Nie zdąży Pan nawet kichnąć, kiedy go naraz przekształcą – niech Pan wierzy Stuleciu, a nie tygodniowi formalisty.

Przez cały ten miesiąc czułem się znakomicie. Tylko raz ze trzy dni przechorowałem na grypę. Paolo bardzo się cieszył. Ale to zupełne dziecko i bardzo z nim trudno. Kiedy wygaduje najstraszniejsze bzdury i trzeba mu się przeciwstawić, to staje się nagle jak dwie krople wody podobny do Medei (straszliwe podobieństwo!) i człowiekowi ręce opadają z roztkliwienia.

Niech Pan jak najszybciej przyjedzie. Rzadko bywałem tak spokojny jak obecnie i nie zmieniłem się ani na jotę. Tylko w tych bzdurnych wierszydkach, które napisałem przed Mińskim, a które w tych dniach ukażą się w miesięczniku „Znamia”, usunąłem z ostatniego dedykację dla Leonidzego, aby nie miał jakichś nieprzyjemności ze względu na pewną niezależność treści.

Ale skończył się jakiś tam okres zarówno w życiu literackim, jak i w moim własnym. W moim skończył się jeszcze wcześniej: nie dawałem sobie rady z prozą, chorym był psychicznie, tłumaczyłem. Czy wiem, co trzeba robić dalej? Wiem. Tylko nikomu nie powiem, może tylko Panu, i to w strasznej tajemnicy. Ale na całkiem innej płaszczyźnie niż bzdury w miesięczniku „Znamia”. Tam tylko strzelanie ślepymi nabojami, czcza gołosłowność, tylko ujście dla zakłopotania.

Ale będę pracował, powiedzmy, od jesieni, jeśli będę żył i będę zdrów.

Ukłony dla wszystkich. Proszę mocno ucałować Nitę i Ninę. Ściskam Pana z całego serca. Niech Pan wybaczy ten głupawy ton listu. Przyczyną jest dziki ból zęba, ale w głębi duszy jestem wesoły i ciągnie mnie do głupstw. I niech Pan przyjeżdża!

Pański B.

Czy wie Pani, Nino, jak tęsknię za Panią? Rozłąkę z Panią, z Nitą, z Waszą atmosferą, z rozmowami, które zaczęłyby się, jak tylko byśmy się zobaczyli, porównać można tylko z tęsknotą za siostrami i za rodzicami, których nie widziałem 15 lat.

Myślałem zawsze, że lubię Tycjana, ale nie wiedziałem, jakie miejsce niezależnie i pomimo mojej woli zajmuje on w mym życiu. Uważałem to za uczucie, a nie wiedziałem, że to cud.

Ileż razy ucztowaliśmy, przysięgaliśmy sobie wierność (uczestniczy w tym oczywiście i biedny P., czy sądzi Pani, że kiedykolwiek go zapomnę?), wspinaliśmy się na szczydła, przesadzaliśmy! Ileż to było zawsze powodów, aby się obawiać, że z tego, co zostało powiedziane, nic nie okaże się prawdą. I naraz jak bardzo wszystko okazało się gorętsze, bliższe!

Jak blade nadawaliśmy wszystkiemu nazwy! Jak niezwykle realna jest siła tego niedostępnego, zżerającego, obłąkanego powiązania!

Często widuję Panią we śnie, to Panią, to nas wszystkich, to znów widziane razem okolice przenikające się w sposób zawity z mymi rodzimymi okolicami. Ubiegłej zimy, gdy wiązało się to jedynie z przerażeniem i cierpieniem, budziłem się niekiedy we łzach i myślałem, że to boli nie tylko moim własnym bólem, ale że stałem się cząstką wstrząsu, jakiego Pani doznała, i częścią Pani samej, i dlatego to jest tak mocne. Trudno mi wyjaśnić ten obłąd.

Ale teraz to, dzięki Bogu, minęło. Nie wypytuję Pani o nic. Choć niepomernie mniej wiem od Pani, to jednak wiem dość, aby żyć nadzieją. Wiem, że nasze nowe, okupione cierpieniem, na razie odroczone ponowne połączenie zostało zgodnie z jakimś wyższym porządkiem przewidziane z góry ze wszystkimi szczegółami i że do nas należy tylko nie stracić tego spotkania, to znaczy dożyć do niego. Mógłbym pisać o tym Pani nieskończenie, ale to niepotrzebne.

Jest mi teraz nieco trudniej. Sam jestem temu winien. Zachwyty w ogóle źle mi wychodziły. W ciągu ostatnich dwóch lat stało się to ponad moje siły – to zrozumiałe.

W samą wigilię nowego 38-go roku urodził mi się synek. Zina urodziła go równo o 12 w nocy, kiedy przy stole zadzwoniło szkło.

Chciałem go nazwać Pawłem (czy muszę Panią zapewniać, że jego życie nie wychodzi mi z głowy i z serca), ale Zina aż się rozptakała, tak ją przeraziło to zbliżenie z obrazem nieszczęścia i goryczy zagadkowego finału, więc cofnąwszy się do tego, co najbliższe w bliskim kręgu, nazwałem go na cześć mego ojca Leonidem.

Resztę opowie Pani Witia. Cześć i chwała jego sercu, że zaofiarował się zobaczyć z Panią, może mu to Pani powiedzieć.

Prześladuje mnie marzenie, że podpisuję umowę na dużą sumę, wylatuję samolotem na jeden dzień do Pani, spędzam go z Panią, przez cały dzień słucham tego, co Pani opowiada, z kolei i ja coś Pani opowiadam, a potem tak samo wracam. Ale nikt ze mną

nie podpisuje umów na dużą sumę. A jednak? Czy to możliwe z Pani strony? Nie wiem, co w Pani warunkach jest szkodliwe lub pożyteczne, co można, a czego nie wolno.

A gdyby los przerzucił Panią z Nitą tu do nas, w Ławruszyński zaułek 17/19, m. 72! I jakież to byłoby szczęście, jeśliby Pani do mnie napisała.

Całuję Pani dłonie. Pani Boria.

Jeśli Pani zobaczy Tamarę Georgijewnę, to proszę jej to wszystko odmalować.

Do Niny Tabidze

(1939–1940)

Droga Nino!

Proszę wybaczyć, że piszę do Pani. Nie należy zapewne Pani niepokoić. Niedawno, całkiem niedawno doszła do mnie pogłoska, że ponoć Tycjan nie żyje. Czy Pani może sobie wyobrazić, co się ze mną działo. Ale kilka godzin temu powiedziano mi, że jest to fałszywe przypuszczenie i że są dowody na coś odwrotnego. Wróciłem do domu, chwielejąc się z radości, i podczas gdy piszę do Pani, wiara to przemienia się w pewność. Ale nich mi Pani ją potwierdzi. Niech mi Pani powie, że on żyje, zatelegrafuje albo napisze.

Nino, Nino, Pani wie, czego potrzebuję od Pani! Żeby Pani we wszystkich okolicznościach, jakiegokolwiek zesałoby nam niebo, wiedziała i pamiętała, że ja cały i całe moje życie i rozum należą do Pani i Nity, i żeby Pani nimi rozporządzała. W ciągu tych trzech nieszczęśliwych dni, kiedy usiłowałem uwierzyć strasznej pogłosce, stwierdziłem, że byłoby to dla mnie nie tylko bezgranicznym nieszczęściem, ale również taką przemianą całego mojego życia, po której ani jedna z jego radości nie byłaby mi miła, gdyż nie byłoby z kim jej podzielić. Lubiłem myśl, że żyję dla niego, a on dla mnie, i gdyby to się wydarzyło, cała przyszłość straciłaby sens. Nino, nie wiem, co do Pani piszę. Ale nie opuszcza mnie nadzieja.

Pani Boria

Nino, wszystkiego najlepszego w Nowym Roku! Kocham Panią bardzo, a jeśli nie znajduje Pani śladów tego w moich listach, to znaczy, że pisało je zmęczenie, rozpacz lub pośpiech. Bardzo załuję, że pisałem do Pani w tych dniach w pośpiechu pomiędzy innymi sprawami.

Właśnie wróciłem z miasta i ze zmęczenia zasypiam przy pisaniu listu, choć jednocześnie cały czas mam Panią przed oczami. Nino, jest Pani człowiekiem tak ważnym w moim życiu, że czasami mam takie uczucie, że kocham Zinę, bo Pani mi na to pozwoliła.

W mieście stopniowo wszystko się ładu. Będą jeszcze spadać na mnie różności, ale w zasadzie stosunek do mnie jest cudowny i w ogóle jestem niewątpliwie człowiekiem szczęśliwym.

Piszę to Pani, ponieważ wiem, że to szczęście kiedyś będę jeszcze dzielił z Panią i z T., że kiedyś w czwórkę, z gośćmi zjemy obiad na przekór wszystkiemu, cośmy przeżyli, będziemy jedli ze smakiem przez całą letnią noc albo i kilka i będziemy gościli się wzajemnie, szczęśliwie, znużeni, w wytchnieniu!

Tycjan żyje i jest gdzieś bardzo blisko, i coraz mniej już zostaje nam czekania. T. jest w moim istnieniu kimś najważniejszym, jest bóstwem mego życia w sensie greckim i mitologicznym. Wydaje mi się, że nie mógłbym być tak szczęśliwy, tak Panią kochać, zajmować takiego miejsca w czasie i oczekiwać jeszcze taka wielu rzeczy dla siebie w przyszłości, gdyby T. nie był jeszcze sądzony.

Niech Pani wybaczy, Nineczko, że tak swobodnie fantazuję i operuję czymś tak trudnym, świętym i bliskim jak nasze prawdziwe życie. Słowo daję, że to nie lekkomyślność i że piszę przez łzy.

Tak więc niech Pani dotączy i moje gorące westchnienie do tego ciepła, jakim Pani z przyjaciółmi oddychała w noc noworoczną. Niech to będzie naprawdę spotkanie.

Najbardziej oddany Pani i Nicie i wszystkiemu, co z Panią związane. B.P.

PS W 1941 r. wszystko pójdzie lepiej, zobaczy Pani.

Na pewno uzna Pani, że wypilem, a ja jeszcze nie jadłem obiadu i od 6 rano do teraz (też 6) nic nie jadłem.

Droga Nineczko! Widzi Pani, jaki jestem skąpy – piszę do Pani nie na Tycjanowym papierze. Zawiniłem wobec Pani pod wieloma względami. Po pierwsze, nie podziękowałem Pani w sposób należyty za Pani prezenty, a w przedwyjazdowym zamęcie nie doceniłem ich wielkiej ilości i rozmiarów. Kiedy teraz w domu wszystko rozpakowałem, wpadłem w przerażenie i gotów byłem spalić się ze wstydu. Przecież owe kopiejkę, które Pani zostawiłem, poszły całkowicie na te wspaniałości, które aż do łez rozrzewniły Zinę i sprawiły, że Loniczka skakał z uciechy i z wdzięczności. Jak mogłem do tego dopuścić i w pośpiechu nic Pani o tym nie powiedziałem! Prawda, prawda, jest mi nie tylko ciężko i wstyd wobec Pani, ale jestem przekonany, że i Pani w głębi duszy jest pewno niezadowolona i zasmucona roztargnieniem i brakiem uwagi z mojej strony w ostatnich dniach. Po drugie, gdy 29-go, w poniedziałek, w połowie dnia dowiedziałem się, że nie lecimy (pamięta Pani, było to po nocy u Leonidzego), nabrałem pewności, że ostatni wieczór spędzę spokojnie w domu i koniecznie jeszcze raz zobaczę się z Panią. Ale tak się nie stało, siłą zawieziono mnie do Saguramo i w Tbilisi znalazłem się dopiero o trzeciej w nocy, na dwie godziny przed wyjazdem na lotnisko. Do Saguramo przyjechałem zupełnie utruپiony, ale cieszę się z tej wyprawy. W powrotnej drodze Eufemia Aleksandrowna często śpiewała i nauczyła mnie pewnej cudownej, powikłanej niby labirynt pieśni mingreelskiej („Oj rado”), którą cały czas podśpiewuję, kiedy myślę o niej, o Pani i o tych bajecznych dwóch tygodniach. I niewiele brakowało, abym w tych ostatnich godzinach nie zaczął romansować z Raisą Nikadze – niech jej się Pani kłania, proszę.

Jeszcze raz strasznie żałuję, że nie zastałem w mieście Nitoczki. Proszę jej się kłaniać.

Teraz co mam Pani powiedzieć, Nino? Byłem znowu u Pani i wszystko to, co odczułem i dawno kiedyś zrozumiałem, pozostało, uprościło się i nasiliło: to, co zwyciężało, okazało się zwycięskim, to, co było rzadkie, stało się jedynym. Powtarzam, co pewno już Pani mówiłem: wiązą mnie z życiem trzy siły – Gruzja, Anglia i moja rosyjska przyszłość, ale nie obecne moje życie w Moskwie, nie moje tutejsze, terażniejsze stosunki. Kiedy w Saguramo w odpowiedzi na czyjeś słowa zacząłem mówić o moich bliskich, o Zinie i dzieciach, nie wytrzymałem i rozpląkałem się, nie z powodu rozłąki z nimi, ale ze świadomości tego, na jak trudne życie skazałem wszystkich związanych swoim życiem ze mną. Opiszę Pani powrót. Odlatywałem smutny, zdenerwowany, nakrzyczałem na R-q i byłem okropnie ordynarny wobec M-y. Czym był dla nich ten wyjazd? Jedyne zmianą hotelu. A ja krwawiąc, odrywałem siebie od Pani i od dwóch bliskich i najdroższych mi rodzin, Simona i Gogły; i od miejsca na asfalcie naprzeciw hotelu, gdzie długo stał Villis, Simona, Euf. Śpiewała i zegnaliśmy się we czwórkę. Ja i biedny Stiepanow nie dostaliśmy foteli w samolocie i siedzieliśmy na walizkach, a te baby przez cały czas pożyczaly ode mnie pieniądze i zachłannie kupowały wszystko, co można było kupić po drodze, a potem wszystkie tym rzygały. Przyjechałem, nie uprzedziwszy Ziny depeszą. Okazało się, że była w Pieriedielkinie, Stasik – w konserwatorium, nie miałem klucza

od mieszkania, oddałem rzeczy sąsiadom i poszedłem do Żeni na bulwar Twerski. Okazało się, że i tam przygotowuję się do podróży. Żenia o świącie miał wyruszyć na obóz. Szedłem po Moskwie z mingrelską pieśnią w sercu i z tym ciężarem, jaki odczuwa się w młodości wobec przymusu przedwczesnej rozłąki z drogimi ludźmi i okolicami. Szedłem i myślałem: „Po co wyjechałem stamtąd?” Albo jeszcze lepiej – szedłem i czułem, że wróciłem do Moskwy tylko pozornie, tylko nogami, duszą zaś i sercem pozostałem na skrawku nocnego asfaltu tam, niedaleko od Pani, niedaleko hotelu, w piątkę z obojgiem Czikowanich i Leonidów.

Piszę do Pani z Pieriediełkina, dokąd przed chwilą przyjechałem. Wszyscy są zdrowi, dziękuję Pani i kłaniają się. Zina pojechała do miasta dopilnować remontu (wciąż jeszcze nie jest skończony), tutaj absolutnie nie ma drzewa, a w czasie, gdy zacząłem do Pani pisać, zgasto światło elektryczne. Ale, da Bóg, wszystko się ułoży. Już jutro zabiorę się do zasadniczej powszedniej mojej roboty, zacznę tłumaczyć *Makbeta* albo *Lira*. U Pani w Tbilisi było mi bardzo dobrze. Kiedy się gniewałem, że noc po nocy odbywają się uczyt i że nie pozostawiają mi czasu na odetchnięcie, chodziło nie o moje zdrowie – okazałem się nocnym ptakiem i znoszę to znakomicie, chodziło o to, że trzeba mi było pozwolić, abym dłużej był sam, a wówczas rzeczywiście dałbym coś na moich wieczorach i w rozmowach podczas spotkań z przyjaciółmi. A tak to miałem moc wrażeń i, że tak powiem, przez cały czas nurzałem się w całym morzu ciepła, niczym się za to nie wyplacając. Teraz mam z tego powodu spóźnione, pomimowolne wyrzuty sumienia.

Wierzę, że z boską pomocą na wiosnę znajdę się u Was znowu. Zrobię to wówczas, jeśli owocnie przepracuję zimą, przygotuję rozszerzony, uzupełniony Szekspirem i nowymi utworami program i odbędę kilka dużych wieczorów w Leningradzie, Moskwie i u Was. Niech mi więc Pani życzy cierpliwości i pomyślnej pracy zimą. Jeszcze raz dziękuję, Droga Moja Przyjaciółko, za wszystko, co dały mi spotkania z Panią, za to, że istnieje na ziemi narożnik zaułka, gdzie spod cienistego drzewa można wieczorem zawołać: „Nino!” od góry w okno, i tak niezmiernie wiele odczuć w tej jednej chwili, gdy się otworzy. Prawdopodobnie dziś napiszę to Simonowi i Gogle, a tymczasem niech się Pani wszystkim kłania i wszystkim ucałuje.

Pani Boria

Droga Nineczko! Całowałem Pani list, przysłany mi przez Garrika znacznie częściej i gorliwiej, niż piłem przyslaną przez Panią czaczę, za którą jednakże dziękuję Pani również z całego serca. Często powstrzymuję Panią i proszę nie pisać do nas i nie tracić na nas sił i czasu. Tak, powstrzymuję Panią, ponieważ jest dla mnie czymś bolesnym odkrywać mnóstwo włożonej przez Panią serdeczności, jak w tym liście z okrzykiem Giwika o Puszkynie i Puszczyńcu albo też w jak w tym o nas i o skończonych szczepieniach Giwika. Wkłada Pani w listy całą duszę, jedyną i gorącą, która tak jest mi miła i którą znam, a od nas, świń, ani słowa odpowiedział!

No cóż mam Pani powiedzieć o nas w tym liście, który zawiezie Pani Anna Nikandrowna! Za dwa dni Wielkanoc i Zina już od poniedziałku jest pochłonięta robotą, ciągle w ruchu, pełna sukcesów, jak wówczas przed Bożym Narodzeniem, kiedy taką radością był dla nas Pani przyjazd. W domu wszystko w porządku, wszyscy są zdrowi, zarabiam i dzięki Bogu.

W początkach lutego po Pani wyjeździe byli u nas Leonidze i Czikowani, a nawet Riabinina z mężem. Był to potworny wieczór! Biedny Borys Liwanow urządził awanturę, broniąc mnie przed nie wiadomo kim i w żaden sposób nie mogłem go powstrzymać. I wszystko to było obrzydliwe i ja też czułem do siebie obrzydzenie. To obrzydzenie spowodowało u mnie nazajutrz grypę. Jakieś powikłanie, również z abominacji, wywołała u mnie worki pod oczami, czerwoną opuchlizną dookoła oczu jak u okularnika. Uczucie wstrętu nie opuściło mnie w całej gorączce, brzydziłem się sam siebie i dopiero, gdy siadłem do roboty i przestałem się zajmować innymi i sobą samym, wszystko jakby ręką odjął.

Ostatnio przez cały czas czuję się bardzo dobrze, wydajnie i łatwo pracuję, a poza tym nie ma żadnych zmian.

Wiele radości sprawia Stasik. Ma bardzo dobry, bardzo mi bliski rodzaj talentu, rodzaj stosunku do sztuki i jej rozumienia. I pewno również życia.

Na wszystkich, jakie tylko istnieją, krótkich czy długich falach radiowych, przesyłam Pani, Nicie, Giwikowi i Aleksiem Nikołajewiczowi najlepsze życzenia.

Garrik opowiada cuda o Waszym Giwiku, o jego uroku i głębokich sentencjach i żałuje, że gdy był z wizytą u Niny, obecność członka Akademii Ceretelego i rozmowa z nim przeszkodziła mu słuchać Pani małego mędrca.

Widziała Pani już na pewno w piśmie „Ogoniok” wiersze Achmatowej albo też słyszała Pani, że je wydrukowano. Pamięta Pani, że pokazywałem Pani już dawno część z nich, przy czym nie najlepszą. Te, których nie znalazłem i którymi uzupełniła ona to, cośmy widzieli, są najlepsze. Strasznie, podobnie jak wszyscy, cieszę się z tej literackiej sensacji i z tego wydarzenia w jej życiu i przykro jedynie, że przez analogię wszyscy zaczęli wycze-kująco spoglądać w moją stronę.

Ale to wszystko, co ona powiedziała teraz, ja powiedziałem już dwadzieścia lat temu, i to jako jeden z pierwszych, kiedy takie głosy brzmiały rzadziej i były osamotnione. Takich rzeczy nie powtarza się po kilka razy, bo albo coś znaczą, albo też nic nie znaczą i w tym ostatnim wypadku żadne powtórzenie nie zdoła tego naprawić.

Jestem bardzo zadowolony ze swego losu, z możliwości zarabiania uczciwą pracą, z jasnego stanu mego ducha. Nigdy nie uważałem się za pokrzywdzonego lub pominiętego w jakimkolwiek sensie. Jeśli ktoś sądzi, że komuś patrzącemu z boku mogę wydawać się „męczennikiem”, to po pierwsze nie odpowiadam za cudze majaczenia albo chimery, a po drugie wystarczy, by ci, których interesują takie pozory, uwolnili moje zatrzymane książki, a mnie samego wypuścili na estradę. Ów „pozór męczeństwa”, dla mnie nieistniejący, zniknie sam przez się. Uświadamianie zaś w „eterze” o tym, że nie jestem męczennikiem, jest dla mnie nie do pomyślenia jako szczyt idiotyzmu. Jestem człowiekiem bardzo dumnym, ale musiałbym być drobnym zazdrośnikiem, chętnym zerem i młodym komiwojazerem, abym po dziennikarsku wierzył i w sam eter, i w to, że coś tam wie on o mnie i że istnieje dla mnie, gdy, szczerze mówiąc, trudno mi czasami uwierzyć, że interesuję Panią albo Zinę. Poza tym, kiedy podejrzany o męczeństwo oświadcza, że jest mu bardzo dobrze, to nasuwa się podejrzenie, że do tego oświadczenia zmuszono go torturami.

Wszystko to skraj niemoralności i największego głupstwa. Kim trzeba być, żeby zajmować się tym wszystkim.

Wydaje mi się, że wszystkie wysiłki człowieka powinny skupiać się na jego działalności – skutecznej, odważnej i produktywnej, a reszty dopełnia życie. W jakichś wyższych dziedzinach istnienia, jakimi są miłość (nie tylko kobiety, ale miłość do ojczyzn czy też miłość współczesnych), twórczość itp. To szczęście albo jest dane, albo w ogóle nie dane. I nie ma się tu o co troskać, bo żadnymi staraniami i zabiegami nic się tu nie zrobi albo też będzie to fałsz. A autentyczny upadek jest dla mnie bądź co bądź bardziej do przyjęcia od fałszywego powodzenia. Proszę mi wybaczyć, Nino, że tak wypisuję Pani takie groszowe bzdury, ale robię to po to, żeby Panią uspokoić, jeśli będą Panią denerwowały jakieś tam literackie plotki.

Mocno Panią całuję
Pani B.

Nineczko! Żyję i nadal jestem w domu. Ach, jak wiele mam Pani do powiedzenia.

Pozostały bez odpowiedzi Pani zdumiewające, pełne przeżyć i krwi serdecznej listy z trzech okresów, poczynszy od jesiennych, gdzie pisała Pani o Nicie i o tym, jak czyta Pani na nowo moje książki, a potem te, w których proponowała Pani Zinie, że przyjedzie do Moskwy, żeby pomóc, a wreszcie ostatnie, w których zwraca się Pani do Żiny, jak do rodzonej siostry... Czym, jakimi słowami mogę się Pani odwzajemnić?

Oto jest to, co chciałbym, żeby wiedziała Pani i Simon z Mariko i Georgij Nikołajewicz i Eufemia Aleksandrowna. Powtarzam to naj, najbliższym.

Niektórym wydaje się czasami: „Tak, wszystkie te głośnie słowa, idealizm, twórczość i wszystkie te przemówienia i toasty dobre są do czasu, za przyjacielskim stołem, aż do pierwszego nieszczęścia i do pierwszej poważnej próby. Zobaczmy, co z tego wszystkiego pozostanie przy pierwszym zetknięciu z tym, co nieuniknione...”.

Kiedy to się stało i kiedy mnie zawieziono i przez pięć wieczornych godzin przeleżałem z początku w izbie przyjęć, a potem spędziłem noc w korytarzu zwykłego, ogromnego i przepelnionego miejskiego szpitala, to w przerwach pomiędzy utratą świadomości a atakami mdłości i torsji ogarniał mnie taki spokój i błogość! Myślałem, że w razie mojej śmierci nie zajdzie nic niewczesnego, nie do naprawienia. Zini i Lonoczce starczy pieniędzy na pół roku, a później rozejrzą się i coś przedsięwzmq. Będą mieli przyjaciół, nikt ich nie skrzywdzi. A koniec nie zaskoczy mnie nagle w trakcie robót, przy czymś niedopracowanym. To niewiele, co można było zrobić wśród przeszkód stawianych przez nasze czasy, zrobiłem (przekład Szekspira, *Fausta*, Barataszwilego).

A koło mnie wszystko odbywało się w sposób tak dobrze mi znany, tak plastycznie grupowały się przedmioty, tak ostro rysowały cienie!

Długi na wiorstę korytarz ze śpiącymi ciałami, pogrążony w mroku i ciszy, kończył się oknem, wychodzącym na ogród atramentowym gąszczem dżdżystej nocy i odbłaskiem miejskiej łuny, łuny Moskwy za szczytami drzew. I ten korytarz, i zielone gorąco abażuru od lampy na stole dyżurnej siostry pod oknem i cisza, i cienie salowych, i sąsiedztwo śmierci za oknem i za moimi plecami – wszystko to w swoim skupieniu było tak nieskończonym, tak nadludzkim wierszem!

W chwili, która wydawała mi się ostatnią w życiu, bardziej niż kiedykolwiek przedtem chciałem rozmawiać z Bogiem, wielbić to, co widzę, chwytać i utrwalać. „Panie – szepotałem – dziękuję Ci za to, że tak gęsto nakładasz barwy i żeś uczynił życie i śmierć takimi właśnie, że Twój język – to majestat i muzyka, że uczyniłeś mnie artystką, że twórczość – to Twoja szkoła, że przez całe życie przygotowywałeś mnie do tej nocy”. I unosiłem się radością i płakałem ze szczęścia.

A teraz pomimo wszystko zapyta mnie Pani, jak się czuję i gdzie jestem. Przez cały czas czuję serce: przy poruszaniu się, podczas rozmowy, nawet gdy piszę te słowa. Mówię, że będzie to trwało jeszcze długo, a potem minie.

Największym moim zmartwieniem jest zwapnienie kręgow szyi (deformująca *spondylosis*) nieco złagodzone ostatniego lata, kiedy wiele się poruszałem i przestałem je odczuwać, ale po dwumiesięcznym leżeniu nieruchomo odnowiło się i wzmogło ogromnie. Ponieważ odczułem je dopiero wtedy, gdy mi pozwolono wstać, odkrycie to zatruło mi radość wyzdrowienia.

Czikowani i Leonidze telegraficznie dowiadawali się o moje zdrowie i składali życzenia noworoczne, Eufemia Aleksandrowna i Peso złożyli Loni życzenia urodzinowe. Wielkie im dzięki za tę pamięć i serdeczność.

Trudno mi będzie teraz napisać do każdego z nich z osobna: przez cały czas przy rozmowie i pisaniu do gardła podchodzi mi kłęb bólu (zdaje się, że jest to objaw dusznicy).

Niech im Pani opowie o moich odczuwaniach w szpitalu. Powinni o tym wiedzieć, nie jako bliscy przyjaciele, nie jako ludzie, których lubię, ale jako coś znacznie większego: powinni o tym wiedzieć jako nieliczni przedstawiciele tego świata, który w tych owianych śmiercią godzinach sprawdził się dla mnie i tak wzmógł moje odczucia, i takie otrzymał potwierdzenie.

Zina czuje się lepiej. Zrobiła dla mnie nieskończenie wiele i uratowała mnie. Ma powiększoną i podrażnioną wątrobę. Pojedziemy razem na miesiąc do sanatorium, nie wiadomo jeszcze dokładnie, dokąd i kiedy.

Nitę, Giwka, Aleksego Nikołajewicza całuję. Niech Pani nie osądza surowo mojego listu. Trudno mi jeszcze pisać, szkodzi mi to i jest zabronione.

Pani B.

Droga Nineczko! Dziękuję, że napisała Pani do mnie w takiej chwili. Nie myli się Pani co do mnie, zasługuję na to: będziemy żyli, zawsze Panią moralnie wesprę. Po to żyłem przez cały ten czas, to jest mi pisane.

Zawsze instynktownie domyślałem się tej strasznej prawdy. To określiło moje poglądy, mój stosunek do naszych czasów i ich głównych przedstawicieli, mój los. Biedny, biedny Tycjan, któremu sądzono było przejść tę drogę, drogę męczeństwa, serce mi zawsze mówiło, podejrzewałem to.

Ale niech Pani zbierze siły, droga Nino, chcę, żeby Pani żyła, potrzeba mi tego, żeby Pani żyła. Jest mi Pani potrzebna, abym mógł zachować jasność, abym doprowadził do końca naszą wspólną odpowiedź, abym wszystko wytrzymał. Mocno Panią całuję, moja miła, moja biedna, moja bliska.

Pani Boria

Obiecane pieniądze nie przychodzą, prześlę je, gdy tylko pojawi się możliwość.

Nasi podróżni dojechali bezpiecznie. W domu wszystko w porządku. Niezmiernie dziękuję Pani i rodzinie Leonidze. U Loni na fotografiach często występuje E.A. Jakże ona piękna! Główna postać we wszystkich grupach, większa, bardziej znacząca i bardziej wyrazista niż inni.

Aha, prosba do Pani! Otrzymałem od Abaszydzego i Czyłaja telegraficzne zaproszenie na uroczystości Guramiszwilego. Nie wiem, na jaki adres mam przetelegrafować słowa wdzięczności i wytłumaczenia, że nie pojadę i że nie mogę pojechać. Czy nie może Pani przekazać tego w moim imieniu? Zbyt jestem odległy od ogólnej atmosfery tych imprez (przecież pozostała taka sama) i co dzień coraz dalej od tego odchodzę.

Proszę wybaczyć, że mało do Pani piszę. Rodzinę Czikowaniego też proszę pozdrowić. W jego poemacie o Guramiszwilim były nader żywe i barwne stronicy.